

665

O niedobrym rymowaniu

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

TEATR I WIDZOWIE



Sytuacja zgoła paradoksalna: nie zdążył jeszcze Witkacy na dobre usadawić się w repertuarze naszych teatrów, a już wszedł do programu zajęć fakultatywnych w ostatniej klasie licealnej. Nie mam o to pretensji do władz szkolnych. Wręcz przeciwnie! Można by natomiast snuć nie najweselejsze refleksje na temat funkcji teatru i zadań, jakie przed nim stawiają władze kulturalne. W niejednym bowiem mieście teatralnym, tzn. posiadającym własny teatr, dyskusja na temat dramaturgii Witkacego przypominać będzie lizanie cukierka przez szybę. Tak było do niedawna w Szczecinie. W końcu ub. roku wystawiono tam „Jana Karola Macieja Wścieklicę”. Był to pierwszy Witkacy na scenach szczecińskich, ostatecznie nienajlichszych w kraju, liczących się w naszym dorobku kulturalnym.

Nieraz wracałem na tych łamach do tego miasta, bo jest ono pod wieloma względami kuriozalne. Od lat istnieje tam teatr, którego rozgłos dawno przekroczył rogatki miejskie. Zarówno za dyirekcji Józefa Grudy, który nim kieruje od trzech lat, jak i jego poprzednika Jana Maciejowskiego. Mimo różnic, dzielących obu twórców łączy ich prawdziwa pasja obywatelska; obaj traktują teatr jako płaszczyznę dyskusji ludzi dorosłych, obaj chcieli w nim widzieć odbicie współczesności, zarówno w sensie artystycznym, jak społecznym i politycznym. Kiedyś wyliczałem już ich dokonania, które zapisały się w historii teatru polskiego, ale nigdy dość dobrych przykładów. Przypomnę więc: w Szczecinie zobaczyliśmy „Wesele”, „Wyzwolenie” i „Hamleta”; w Szczecinie zaczęła funkcjonować „machina do grania Szekspira”, o wiele sławniejsza i częściej dyskutowana za granicą, niż u nas; w Szczecinie wreszcie zrodziła się współczesna idea teatru, w którym widz został wytracony z pozycji oglądacza, czy podglądacza i skłoniony do aktywnego udziału w teatrze; mam na myśli scenę na Zamku, w tzw. kaplicy Bogusława. Zainteresowanie takim teatrem ze strony publiczności winno być dać do myślenia politykom kulturalnym.

Zdawałoby się, że dość powodów dla których władze powinny chuchać i dmuchać na swój teatr. Tymczasem w planach rozwoju kultury na najbliższe lata mówi się przede wszystkim o Teatrze Muzycznym. Dla niego zbuduje się nowy, wolno stojący gmach teatru. Nawim to się zrealizuje zostanie do 1975 r. przebudowane jedno ze skrzydeł zamko-

wych, które zajmie Teatr Muzyczny; dopiero schedę po nim przejmie Teatr Dramatyczny. Z myślą o Teatrze Muzycznym przewiduje się znaczne zwiększenie „sił i środków” sceny szczecińskiej: 30 osób dla operetki, 15 dla dramatu. Itd. itd.

Motywacji takiego postępowania należy chyba szukać w szlachetnych skądinąd myślach o potrzebie ożywienia ruchu amatorskiego. Podzielałam ten pogląd. Osobiście coraz więcej nieufności żywię do artystów zawodowych. Wolę np. malarzy niedzielnymi, niż kicze, sprzedawane przez profesjonalistów, którzy usiłują we mnie wmówić, że za każdym razem krzeszą z siebie iskry prawdziwego wzruszenia. Ale szczeciński Teatr Muzyczny dawno już przekroczył dopuszczalne granice amatorstwa i reprezentuje dziś podłą amatorszczyznę, tym gorszą, że uzasadnioną. Tytułami usiłuje zamydlić oczy: „Krakowiakami i Góralami”, „Aniutą”, czyli tzw. utworami „trafiającymi do serc szerokich rzesz”. O realizacji tych utworów milczy się. Mówi natomiast o frekwencji jak zwykle w operetce.

To zaś, co robią Teatry Dramatyczne bywa często surowo krytykowane, jako udziwnianie smaczki dla snobów, czy zgoła fałszowanie klasyków. Ich przedstawienia zaś są uważnie oglądane przez młodzież, potem namiętne dyskutowane. Ich rangę artystyczną można mierzyć pamięcią młodych — świetnie pamiętają spektakle sprzed 3, 4, nawet 5 lat. Na nich opiera się ich wiedza nie tylko o teatrze, ale i o współczesnym świecie. Na nich kształtują oni swoją wrażliwość i smak. I sądząc z rozmów, jakie miałem z młodymi humanistami — rezultaty nie są najgorsze, zarówno w płaszczyźnie przeżyć estetycznych, jak i rozważań filozoficznych, moralnych, politycznych.

Tu drobny wtęt. „Wścieklica” szczeciński, czyli okazja do pierwszego, bezpośredniego kontaktu z tym dziwnym, ciągle niedocenionym pisarzem i dramaturgiem nie różni się w sposób zasadniczy od innych realizacji utworu. Jest może o wiele bardziej „zwyyczajny”, realistyczny. Słabiej wyeksponowano w nim surrealistyczną formę, ów nadkabaret, który w teoretycznym przekonaniu młodych widzów wyróżnia twórczość Witkacego. Wolno domyślać się, że reżyserowi (Aleksander Strokowski) zależało na podkreśleniu więzów, łączącego Witkacego z Wyspiańskim, na pokazaniu pewnej ciągłości idei, czy nawet wątków. Tytułowy więc bohater został w tym przedstawieniu potraktowany, jakby był Czepcem z „Wesela”, przeniesionym w lata dwudzieste naszego stulecia. Reżyser wyszedł ze słusznego założenia, że młodemu widzowi niewiele dziś mówi nazwisko Witosza, że skojarzenia z tą osobą należą do odległej przeszłości. Odwołał się więc do „archetypu” do postaci, funkcjonującej w świadomości zbiorowej uosobnionej w Czepcu. I to wydaje się interesujące myślowo, zapładniające, zachęcające do dyskusji. Takie bowiem ujęcie Witkacego pozwala, a nawet zmusza do szerszej konfrontacji, do przesłedzenia pewnego nurtu naszej dramaturgii, wiodącego prosto od Wyspiańskiego poprzez Michalskiego, Witkiewicza, Gombrowicza, do Mrożka i dalej Różewicza. A więc do dyskusji nad tym, co dotyka naszych kompleksów, co wkracza w głąb naszych problemów narodowych, społecznych. I co jest naszym oryginalnym dorobkiem kulturalnym.

Rozmowa z młodymi humanistami, formalnie jeszcze uczniami licealnymi, ale humanistami z zainteresowaniem i postawy, przekonana może raz jeszcze jak wlema do zrobienia teatru w tym dziele edukacji ciągłej, nieustającej.